№ 22. Wilno, dnia 21 Czerwca 1925 r. Rok I



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

OJCZYZNA.

Ojczyzna moja — polska ziemia droga,
Gdziem ujrzał słońce i gdziem poznał Boga;
Gdzie ojciec, bracia, i gdzie matka miła
W polskiej mnie mowie pacierza uczyła.

Ojczyzna moja — to wioski i miasta,
Wśród pól zielonych sadzone od Piasta,
To rzeki, lasy i niwy i łąki,
Gdzie pieśń nadziei śpiewają skowronki.

Ojczyzna moja — to praojców sława,
Szczerbiec Chrobrego, Cecorska buława,
To duch rycerski, szlachetny a męski,
To nasze wielkie zwycięstwa i klęski.

Ojczyzna moja — to te ciche pola,
Które od wieku zdeptała niewola,
To te kurhany, te smętne mogiły,
Co jej swobody obrońców przykryły.

Marja Konopnicka.

STANISŁAWA ŚWIĘTORZECKA

Braciszek Babuni.

Opowiadanie osnute na tle prawdziwego zdarzenia.

(Dokończenie).

— Zaraz, zaraz nianiu!—zawołał...

Nowy zawrzał gniew we mnie. Pilno mu na przechadzkę — pomyślałam — niechże sobie idzie. Obojętnie odsunęłam go od siebie i nie ucałowałam, nie ucałowałam mojego braciszka.

— Idź sobie, niedobry chłopcze, idź, ja ci przebaczyć nie mogę, rzekłam, odwracając głowę.

— Uh... złośnica,—z oburzeniem odezwała się Stefanowa — brzydka złośnica, tak dziecku dokuczyć!... Chodź, Januszku, muszę ci włożyć ciepłe trzewiczki. Trzeba się śpieszyć, dzień krótki.

Jakaś wesoła myśl rozjaśniła zachmurzoną twarzyczkę chłopczyka, dał się ubrać, to szczebiocząc coś niani do ucha, to całując jej twarz pomarszczoną, to obejmując rękami jej szyję... Gorącym szeptem coś jej opowiadał, o coś pytał, z czemś się zwierzał i, nie czekając odpowiedzi, gwarzył dalej tym swoim szczebiotliwym językiem świergocącego młodego ptaszęcia. Słów tej rozmowy nie słuchałam zatopiona egoistycznie w rozmyślaniach nad niepowetowaną, jak mi się zdawało, swoją stratą, lecz echo tego dziecięcego szczebiotu dotąd żyje w mej duszy...

Wreszcie już byli oboje gotowi do wyjścia. U drzwi, na progu mój braciszek odwrócił się i tak rzewnie, tak tkliwie spojrzał w moją stronę...

Zosiu, więcej niż pół wieku minęło od tamtego czasu, a ja zawsze to jego spojrzenie czuję na sobie.

Poszli... A ja siedząc przy oknie nieruchoma i chmurna zaczęłam się zastanawiać nad swem postępowaniem. Zaniepokojone sumienie wyrzucało mi coraz głośniej oschłość serca i okrucieństwo; żal za utraconym kanarkiem zaczął ustępować uczuciu tęsknoty za naszym drogim, złotowłosym pieszczochem.

Biedny chłopczyna! — myślałam — taką miał przera-

żoną białą twarzyczkę, tak mu drżały usteczka, tak straszliwe smutne miał oczy. I te rączki załamane, ta jego rozpacz! Jakże mogłam oprzeć się jego prośbom, jak mogłam mu nie przebaczyć?!... Naprawdę zła jestem bardzo. Niech tylko wróci, uściskam go, utulę, podaruję mu moje nowe pudełko z farbami...

Z zadumy wyrwał mię głos matki.

Oczy nasze się spotkały, gorący rumieniec oblał mi twarz, chwyciłam ręce mateczki, obsypałam je pocałunkami. Serce me pełne już było wstydu i żalu.

— Nie będę ci czyniła wymówek, odezwała się mama, widzę, że cierpiesz i żałujesz swej popędliwości, przyszłam ci tylko powiedzieć jedną rzecz:—czy wiesz, dokąd Janio poszedł? wiesz czemu tak się radował i dokąd tak śpieszył? Oto wyjął ze skarbonki wszystkie swoje pieniądze i póty molestował, póty całował mnie i prosił, aż mu pozwoliłam pójść ze Stefanową do ptasznika, żeby kupić drugiego kanarka. Ewuniu powinnaś być bardzo łagodna i wyrozumiała dla Januszka, to takie wątłe i wrażliwe dziecko. Uważałaś, jak zbladł okropnie na widok martwego ptaszka, jak mu usta drżały, jak biło serduszko?...

Tego mi już mówić nie trzeba było: poczucie własnej niesprawiedliwości i winy oraz rozrzewnienie nad dobrocią Januszka wywołały istny potok łez; przez długą chwilę kochana matka uspokoić mnie nie mogła, serce pękało mi z żalu. Oddałabym bez wahania wszystkich moich ulubieńców, wszystkie najmilsze mi zabawki i najpiękniejsze książki za jeden uścisk Januszka, za jedno jego czułe słówko.—Mateczko, mateczko, powtarzałam wśród łkań, kiedyż oni wrócą nareszcie, tak mi pilno, tak pilno ucałować Jania!... I z twarzą przylepioną do szyby całą mocą młodych bystrych zrenic wpatrywałam się w szarawą mgłę listopadowego dnia.

— Cierpliwości, cierpliwości, moje dziecko, — odpowiadała mama — tuląc moje ręce w swoich i śledząc z pewnym niepokojem postępy zapadającego na dworze zmroku.

Wtem obie westchnęłyśmy z uczuciem wielkiej ulgi: na przeciwległym chodniku ujrzałyśmy czerwony płasz-

czyk i takąż czapeczkę: Januszek! Pchnięte jedną myślą zbliżyłyśmy jeszcze bardziej twarze do okna, starając się nie stracić ani na chwilę z oczu tej drogiej, małej figurki.

Już, już są blisko . . .

Niania w jednej ręce niesie małą klatkę okrytą białą bibułką, w drugiej trzyma rączkę podskakującego, różowego jak jabłuszko i uśmiechniętego radośnie chłopca.

— Janio, Janio, szeptałyśmy obie z mamą zachwycone tym rozkosznym obrazkiem.

W tej samej chwili Januszek, jakby przyciągnięty magiczną siłą naszych spojrzeń, podniósł oczy, ujrzał nas i rozpromieniając się jeszcze bardziej, wolną rączką przesłał nam od ust pocałowanie Nie mogłam wytrzymać dłużej: z właściwem mi uniesieniem zerwałam się z krzesła, przeleciałam kilka pokoi, do sieni wypadłam jak burza, zbiegłam ze wschodów i stanęłam we drzwiach, prowadzących na ulicę.

Na przeciwległej stronie z poza szeregu furgonów i powozów ujrzałam tupiącego niecierpliwie w miejscu mojego ślicznego braciszka.

Mimowoli wyciągnęłam do niego ręce. Janio dostrzegł mnie i równą mojej niecierpliwością zdjęty, wyrwał rączkę z ręki Stefanowej i, jak strzała, pomknął przez ulicę. Jednocześnie z za węgła wypadła jednokonna karetka... rozbiegany koń runął naprzód... Coś zawirowało, zakotłowało... Czyjaś rozkazująca ręka powstrzymała ruch uliczny. Zapanowała nagle jakaś straszna cisza... Ja stałam nieruchoma we drzwiach nie rozumiejąc, co się z Janiem stało, gdzie jest, czemu go nie widzę, co znaczy ta nagła cisza?...

Wtem za mną na schodach rozległ się jęk jakiś straszny, przeciągły, okropny... a wślad za nim mignęła mi przed osłupiałemi oczyma szara twarz matki i jej suknia, czarna, czarna, jak chorągiew żałoby.

I przed tą postacią bolesną rozstąpił się tłum przechodniów, odsłoniły się wszystkie głowy, a jednocześnie czyjeś ręce złożyły w jej rozwarte ramiona jakieś nieruchome czerwone zawiniątko. Po chwili, która mi się, jak noc, długa wydała, ujrzałam znowu tragiczną postać mojej matki, wstępującą na schody ze skarbem swoim,

który jej jedno uderzenie końskiego kopyta wydarło na wieki.

Na rękach mamy, biały, z zagasłemi oczyma, z kroplami krwi na ustach i ciemną plamą na skroni spoczywał trup mojego braciszka.

Zosiu moja, od tego dnia okropnego minęło lat sześćdziesiąt, a ja jego każdą chwilę wyrytą mam ognistemi zgłoskami w pamięci i nie zapomnę go do śmierci. Ileż to dni bolesnych nastąpiło po nim, jakże odmieniło się wszystko! Ileż to razy w ciszy nocy zalewałam się rzewnemi łzami, przypisując sobie winę śmierci Januszka! Cóżbym dała za to, żeby móc cofnąć to, co się stało, żeby znowu mieć Jania przy sobie, żeby nie widzieć zmienionej twarzy matki i jej posiwiałych włosów, żeby ujrzeć dawny uśmiech na twarzy ojca. Cisza i smutek zapanowały w domu naszym. Mama chorowała długo. Wreszcie do kraju powróciliśmy, zamieszkaliśmy znowu w Kalinowicach.

Do pracy trzeba się było zabrać: do zabudowania zgliszcza, do dźwigania gospodarstwa z ruin. W pracy na ojczystym zagonie rodzice moi poczęli zwolna odzyskiwać równowagę ducha i pogodę, a i ja coprawda, stałam się ich prawdziwą pociechą i podporą. Bo też zmieniona już byłam do gruntu: dawnej lekkomyślnej, gwałtownej i zaciętej w gniewie Ewuni nie poznałby nikt w spokojnej, łagodnej i cierpliwej dziewczynie, którą się stałam! To też miłość powszechna mnie otaczała. Kochali mnie niezmiernie rodzice, lubiła służba, przyjaciele i znajomi. Wyszłam za mąż. Miałam najlepszego męża. Bóg mi dał dobre i kochające dzieci, wnucząt doczekać pozwolił łaskawie. Wnucząt, które kocham gorąco. A jednak, Zosiu moja, ani czas, ani to długie życie nie zagoiły rany mojego serca nie zagłuszyły głosu mojego sumienia... Januszka mojego zapomnieć nie mogłam!

I codzień bliższa grobu, z coraz większą tęsknotą czekam dnia, kiedy mi Pan Bóg Miłosierny pozwoli nareszcie dojrzeć wysuwającą się ku mnie z grona Aniołków drobną postać mojego braciszka z wyrazem miłości i przebaczenia uśmiechającego się do mnie.

HEL. ROMER.

Bajka-Zagadka.

(Ciąg dalszy).

Maniek już milczał, tylko ze zmieszania nos palcem podcierał i ciągle sie dziwił, że nos mokry i mokry, aż przypomniał sobie że był w wodzie... „No, to cóż ja tu będę robił, pójdę sobie, jak tak", burknął zuchwale po cichu. Ale jegomość posłyszał.

„Pójdziesz? Nie kochaneczku, nie odrazu. Jeśli taki jesteś pewny siebie, to odgadnij kim ja jestem, a wtedy cię puszczę, inaczej ani kroku nie zrobisz i tu cię ryby po kawałeczku zjedzą.

— O jej, wielka sztuka, pan jest pan jeziora, może Kościej, bo i o nim w Bajarzu pisze, a może Neptun, choć on w morzu podobno siedzi, rzekł niezmieszany Maniek.

— Widzę, żeś czytał rozmaite bajki zamiast się uczyć ułamków, pięknie... ale właśnie nie zgadłeś, jestem kimś innym. Znasz mię... od 12-stu lat.

— Kiedy ja sam mam lat 12-ście, ale pana nigdy nie widziałem, na pewno, ani w miasteczku, ani na feście.

— A jednak wszędzie byłem. Powiem ci coś nie coś o sobie, to ci może ułatwi zgadywanie, bo ja ci Mańku źle nie życzę, chociaż niejedną ci jeszcze przykrość zrobię w życiu, dokończył jegomość smutnie i serdecznie.

— „Czemu, cóż ja panu złego zrobiłem" spytał strwożony Maniek, któremu się jegomość zaczynał podobać.

— „Czemu? Ach mój maleńki! Czasami sam mię do tego zmusisz, czasami sprawi to nieodgadniony los. Ale słuchaj. Tak jak mnie widzisz, mam piękną i liczną rodzinę. Z moich czterech córek, każda jest królową i panuje nad światem kolejno. Musiałeś najmłodszą z nich spotkać temi czasy, jestto najmilsze i najweselsze moje dziecię, chociaż ma sporo kaprysów, to się śmieje, to



płacze, to patrzy słodko błękitnemi oczami, to groźnie brewki marszczy i nogami tupie i drze mgliste sukienki. Ale jej to wszyscy wybaczają, bo tyle daje ludziom uśmiechów i radości, tak umie wić wianki z kwiatów i śpiewać, że gdy ludzie posłyszą, że nadchodzi, otwierają drzwi i okna i wołają: „Chodź, miła, jasna, promienna“...?

Druga moja córa, jest bardzo pracowita, co tamta zaczęła zaledwie, to ta wszystko do końca doprowadzi, nie masz pojęcia ile bogactw rośnie pod jej rękami, jak świat cały zabiega o jej względy, by się czasami nie rozgniewała, o bo wtedy, bywaj zdrów. Rozkrzyczy się, rozzłości tak, że wszystko popsuć może co sama zrobiła i szkody okropne wyrządza. Piękna jest bardzo, a szaty jej są stokroć bogatsze od siostrzanych, mienią się najcudowniejszemi barwami, tysiące kwiatów zrywa sobie na wieńce, najsłodsze owoce i jagody hoduje. Ale myślisz, że ona dba o to, nad czem pracowała? Otóż nie, troskę o tem zostawia trzeciej siostrze. Ta dopiero jest gospodynią co się zowie? Żeby nie ona, wszyscybyśmy z głodu najpewniej umarli. To też przy tej pracy zgrubiała trochę, i postarzała, ale jest też wspaniała: suknie nosi złoto-purpurowe, słodycz jakaś i spokój maluje się na jej pięknych licach, czasami, gdy ma już za wiele roboty, popłacze cicho, ale nigdy nie robi





tego hałasu i szkód co siostry. Ona jest dla nich jak matka najlepsza, wszystko pochowa, zaopatrzy każdego, a gdy już skończyła wtedy dopiero idzie na odpoczynek i pozwala czwartej siostrze nadejść. Ta, powiem ci szczerze, że ją nie bardzo lubię. Taka jest zimna, obojętna na wszystko, posiwiała już zupełnie, lubi tylko kroniki i naukę, zawsze chodzi ubrana w białe aksamity, puchy i adamaszki srebrem wyszywane, a czasami czarne wkłada szaty, nie lubią jej ani drzewa, ani ptaszki, przytem, wystaw sobie zjada wszystko co tamte siostry przygotowały, a pracuje mniej od nich. Ty nie wiem czy ją polubisz, gdy ci powiem, że zapędza dzieci do szkoły, ale za to ma jedną zaletę: przynosi podarunki na Boże Narodzenie.



Nie myśl, że na tem się moja rodzina kończy, ciągnął dalej jegomość do zasłuchanego Mańka, który zrobił sobie wygodne siedzenie z wodorostów i rozgościł się jak u siebie, mam z tych córek wnuki. Każda z nich ma po trzech synków. Z pierwszej, to psotne wesołe malcy, krzyczą, śpiewają i biegają po łąkach, patrząc czy pączki kwiatów się otwierają, wypędzają pszczoły z ulów i bydło z obór, wołają jak świt na rolników żeby szli do pracy.

d. n.